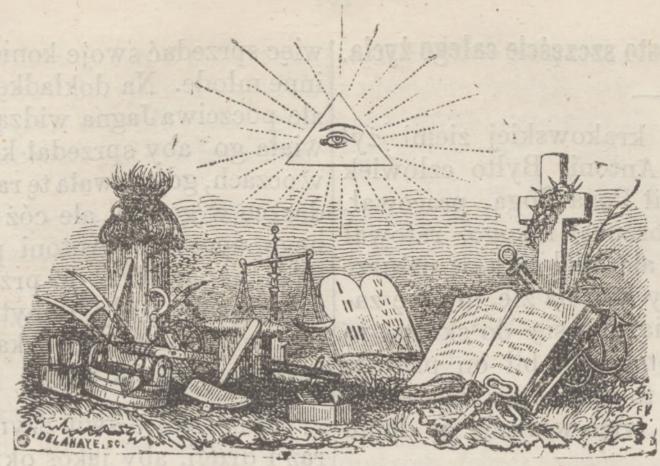
№ 19.

WARSZAWA

d. 30 kwietnia (12 maja)

1861.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej

Nr 1527.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Nic nie ma mocniejszego i potężniejszego nad łagodność; słowo albowiem łagodne nakształt wody która gasi ogień, gasi cierpkość gniewu najzapalczywszego—łagodność przeto sprowadza nam dwojaką korzyść: łagodzi uniesienie naszego brata i powraca jego duszy pogodę, którą utraciła. (Śty Jan Chryzostom.)

Zgon sprawiedliwego.

—

Umilkły pieśni żeńców i śpiew ptasząt w boru,
Chłodnym wiatrem trącane kołyszą się kłosy,
Z wieży tylko kościołka wśród ciszy wieczoru
Płynie smętny głos dzwonu, wraz z kroplami
[rosy;
I tam na końcu sioła w jedną z cichych chatek,
Gdzie głośny płacz rodziny dochodzi się
[z progu,
Śpieszy gromadka kmieci i niewiast i dziatek,
By duszę swego brata w modłach zlecić Bogu.
Bo oto zakończywszy żywot pracowity,
Oczyszczony spowiedzią i żalem serdecznym
Starzec z pogodą w licu, siwizną okryty,
Z krzyżem w zakrzepłej dłoni spoczywa snem
[wiecznym.
O! tak, starzec śpi tylko... jestże śmierć dla
[duszy,
Jestże rozpacz zwątpienia dla wyznawców
[krzyża?
Wszak zgon ziemski jedynie pęta ciała kruszy,
Wznosi ubogich duchem, a pysznych poniża.
Wypłacił dług swój ludziom, opuszczając zie-
[mię,
Z roli ojców wyplenił szkodny chwast i ciernie,
Wychował bogobojnie zdrowe swoje plemię,
Nauczywszy strzedz wiary i dróg cnoty wier-
[nie.
Przebył pasmo żywota, rad z swej skromnej
[doli,
Nie sarkał na Opatrzność, nie drżał przed
[cierpieniem,
Spoczął na snopie słomy z swej ojczystej roli,
W trumnie z dębu, co nieraz chronił go swym
[cieniem.
I długo jeszcze, długo choć grób go pokryje,
Pozostanie wśród ludzi pamięć jego czynów,
I wieniec dobrej sławy potomkom uwije,
Jako wiano dla córek, majątek dla synów.
I miłość mu przechowa pierś rodziny szczera,
Zasnął po trudach ziemskich przy zachodzie
[słońca,
Ocknie się w chwale wiecznej, bo duch nie
[umiera,
Bo śmierć jest tylko wstępem do życia bez
[końca!

Jedna wina niszczy często szczęście całego życia.

—

W jednej ze wsi krakowskiej ziemi żył gospodarz imieniem Antoni. Byłto człowiek bardzo dobry, chwalił Pana Boga, pracował, nie ukrzywdził, nie oszukał nikogo, ratował jak mógł uboższego; ale miał taką w naturze popędliwość, że kiedy kto na złe mu się zasłużył, a Antoni wziął mu się do skóry, to już chudziak popamiętał. Nie bił on prawda nigdy bez racyi, ale i to wielka prawda, że bił strasznie. Bali się go więc wszyscy w domu jak ognia.

Żona jego Jagna była znowu cicha i łagodna kobieta; znając naturę męża i miłując go serdecznie, usuwała troskliwie wszystko, coby go pogniewać mogło. Żyli więc spokojnie, uczciwie, jak Bóg przykazał; a jeżeli czasem dobra Jagna zapłakała w skrytości, to się nie dziwcie, bo i któż łzy w cichości wylane policzyć może? Chyba je sam Zbawiciel świata miłosiernie policzy.

Jedynem dzieckiem naszego stadła był Szymek. Kiedy się ta powieść zaczyna, miał on już lat 26. Jak większa część naszych synów wieśniaczych, był sobie ani bardzo mądry, ani też bardzo głupi, ani bardzo zły, ani znów zbyt dobry. Kiedy wziął się do pracy, to i pracował, ale lubił i pobaraszkować. A skoro w niedzielę zadzwoniono na nieszpory, to on udał przed rodzicami, że się do kościoła zabiera, ogarnął się schludnie, a tymczasem biegł do gościńca i ciął krakowiaki, aż się okna trzęsły. Niemiło było Antoniemu, gdy się dowiedział, że syn przed nim cyganił, ale Szymek gładko się wykłamał, iż pierwej był w kościele, a stary udobruchany przez żonę, patrzył przez szpary na wybryki jedynaka i mawiał sobie może w duchu: Cóż z nim robić, od czegóż młodość?

Dawniej nasz gospodarz miał się bardzo dobrze, było u niego jak to mówią, i w oborze i w komorze. Ale nadeszły ciężkie czasy, pomor na bydło i inne stokroć cięższe kary Boże tak go zmarniły, iż zostały mu tylko dwa stare szkapska, z których jedna kulała, i jedna jedyna krowina w obórce. Uznał Antoni, że z takim dobytkiem gospodarstwu nie podoła, że stara chroma szkapa, ani do roli, ani do wywózki nie przydatna; postanowił więc sprzedać swoje konie i dołożywszy, kupić inne młode. Na dokładkę nie było pieniędzy, ale poczciwa Jagna widząc kłopot męża, namawiała go aby sprzedał krowę. Łzy jej stanęły w oczach, gdy dawała tę radę, słowa więzły biedaczce w gardle, ale cóż począć? nie było innego sposobu. Antoni przystał i umyślił jechać na jarmark do przyległego miasteczka, a wziąwszy cały dobytek, tamże sprzedaż i kupno uskutecznić; kazał więc Szymkowi szykować się na jutro.

Jakoż skoro świt Szymek podsypał koniom raz i drugi, aby jakoś okrąglej wyglądały i zaprzągł takowe do woza. Ulubioną zaś matki krowinę przywiązał z tyłu i gotował się z ojcem do wyjazdu. Krówka opuszczając podwórko, gdzie się wychowała i poczciwą gosposię, zaryczyła żałośnie. Biedna kobieta usłyszawszy to ostatnie pożegnanie, powstrzymać się nie mogła, zakryła oczy fartuchem, a łzy rzęsiste aż grube przemoczyły płótno, ale nie rzekła słówka. Antoni udawał, że nie widzi żalu żony, pożegnał ją krótko i smutny ruszył z synem w drogę.

Przybywszy do miasta, udał się nasz gospodarz na targowisko; tu nie źle mu się powiodło. Sprzedał krowę i konie, a nad spodziewanie dostał za wszystko dwadzieścia dukatów złotem. Bojąc się z pieniędzmi kręcić między końmi, kazał Szymkowi trzymać dukaty w garści i stać w jednem miejscu na rynku, sam zaś poszedł na targowisko. Szymek stanął i począł się gapić, kręcili się tam i sam ludzie, przechodziły różne dziewczęta; czasami za czerwoną wstążeczką zerknął ciekawiej nasz chłopak, ale i ta wpadła w tłum i zginęła jak inne. Po długiem oczekiwaniu znudził się Szymek i miał wielką ochotę iść szukać ojca, kiedy licho przyniosło w tę stronę niemca z kartami. Szymek zaczął się ciekawie przyglądać, ale ostrożny do gry nie przystąpił. Z początku sami tylko towarzysze widać gracza chcąc lud prosty przynęcić, zbliżali się do gry, stawiali i wygrywali prawie zawsze mniej więcej, jak się zdarzyło. Czasem i talar się przewinął, aż chłopi złudzeni nadzieją łatwego zysku rzucili się ku wyłudzigroszowi i stawiać poczęli. Ten wygrał cośkolwiek, ucieszył się i grał dalej. Ów znowu przegrał, zaklął, aż w uszach zatętniało i poszedł ze złością.

Gracze biegali tu i owdzie, jeden z nich zbliżył się do Szymka i niby przyjaźnie zagadał:

— A cóż to kawalerze, czy nie macie grosza w kieszeni, że nie idziecie jak drudzy szczęścia probować?

Szymek jak każdy niemal parobczak krakowski, miał swoję fanaberyą, napuszył się i ostro odpowiedział:

— Czy ty myślisz jakiś, że każdy taki gałgan, jak ty jesteś? patrzaj... To mówiąc, szybko otworzył pięść i zamknął natychmiast. Mam pieniądze szachraju, ale nie na matactwa, jeno na uczciwe kupno koni, po które tatul poszli.

Graczowi oczy zabłysły, gdy ujrzał złoto, cmoknął łakomie, ale się prędko powściągnął i znowu zaczął:

— Macie racyą, takiego ślicznego grosza szkoda. Za taką sumkę, można kupa pieniędzy zagarnąć, można kupić matuli jedwabną chustkę, a może tam i komu jeszcze i bicz koralów. Ja wiem, gdzie to wszystko i tanio i fein jest.

— Strój ty twoje kobiety za wycyganione pieniądze, odpowiedział rozgniewany Szymek. Moja matka woli parciany rańtuch uczciwie wypracowany, jak bławaty i manele za grosz krzywo nabyty. Ruszaj odemnie diabli synu pókiś cały, bo jak cię zamaluję, to się nogami nakryjesz.

To powiedziawszy, poprawił czapkę na bakier, uderzył się w bok, aż wszystkie kółeczka zabrzęczały i zaczął świstać krakowiaka. Szuler niby zawstydzony, zaczął coś szwargotać pod nosem i odszedł powoli.

Zostawszy sam Szymek, mocno się zamyślił, nie chodziło mu o bławaty, ale widział żal serdeczny starej matki i z duszy pragnąłby odprowadzić jej napowrót kochaną krowinę, możeby rad był i koralów, ale tego ja tak dokumentnie nie pamiętam, toć i nie mówię.

Uszło tak z pół godziny, kiedy ktoś pociągnął za sukmankę naszego chłopaka, on się obejrzał, stary szuler stał za nim.

— Czyście wy Szymek syn Antoniego?

— Tak, albo co tam chceta? odrzekł Szymek.

— Oto tatul kupili odemnie konie i kazali ci powiedzieć, żebyś nigdzie ztąd nie odchodził i broń Boże nie dał sobie pieniędzy okradnąć; tatul tu zaraz przyjdą, tylko jeszcze z moim furmanem raz konie objadą.

Szymek mocno się zaindyczył, chciał się już z niemcem wodzić, ale spojrzawszy na jego siwą głowę, uspokoił się potrosze i tylko mruczał sobie pod nosem:

— Niby to ja gawron jaki, cobym dał sobie pieniądze z garści wydrzec.

Przybyły stał chwilkę i znów się odezwał:

— Tak długo kawaler stoi na zimnie, aż pomarzł; kieliszek dobrej wódki nie byłoby ku szkodzie: ja pójdę i rychło przyniosę.

Szymek nie lubił wcale wódki i miał już chętkę za nią po swojemu podziękować; ale dodatek *dobrej*, mocno go zaciekawił, chciał zobaczyć i skosztować owej *dobrej* wódki. Nieznajomy poszedł do bliskiego szynku i wrócił niedługo, niosąc spory kieliszek araku. Szymek nie znał tego trunku, skosztował, a znalazłszy go swego smaku, wychylił cały kieliszek. Nienawykłemu do trunku, mocny arak zagrzał rychło w pałce i wszystko mu się jakoś inaczej opacznie wydawać poczęło, Postrzegł to widać stary oszust, bo rzekł z uśmiechem przymilenia:

— Może kawaler ma ochotę pobawić się w karty, to niech weźmie odemnie te parę złotych na okup i idzie sobie; tatul zaraz nie nadejdą, a jakby szli, to ja ostrzegę.

Szymek nie dał sobie dwa razy powtarzać, porwał fatalne dwa złote i pędem poleciał. Stawił zaraz oba, wygrał; znów stawił cztery, wygrał; dalej ośm, toż samo. Stawiał i wygrywał wciąż. Arak i gra obłąkały Szymka; obudziła się w nim tak gwałtowna żądza nabycia łatwego grosza, taka straszna dzika chciwość, iż o wszystkiem na świecie zapomniał: ręce mu drżały, gorączka paliła mózg i ciało, a on grał i wygrywał, a przestać nie myślał. Szuler dał nań pilne baczenie; zapędzony Szymek stawił wszystkie wygrane pieniądze. Gracz przerzucił talię, i wyszła karta na niego i zagarnął wszystkie pieniądze. Szymek bezprzytomny prawie dobywa dukata z kieszeni, stawia, przegrywa, i znów drugiego, trzeciego, i siódmego, a w moment wszystkie poszły do szalbierza.

Po tej stracie Szymek nie mógł się upamiętać, zdało mu się, że choćby przyszło łbem mur rozkołatać, on musi swoje pieniądze odzyskać; stawiał więc dukata po dukacie, aż przegrał ostatniego. Kiedy ujrzał pustą kie-

szonkę, zdało się Szymkowi, że piorun w niego uderzył i zbudził go z okropnego snu. Przetarł oczy, spojrzał dokoła, sen to czy na jawie; zebrał przytomność i uznał straszną prawdę. Schwycił się oburącz za głowę, a w piersiach taki uczuł ból, jakby go sto gadzin opasało, Gdybyć się był upamiętał, wspomniał na Pana Boga, westchnął ku niebu pokornie, byłby się może Bóg miłosierny nad nim zmiłował, byłby mu udzielił ratunku, możeby potrafił jakim sposobem wydrzeć oszustowi pieniądze; a jeżeli już nie, to byłby wrócił do rodziców, (a choćby go ojciec ukarał, jak zasłużył), byłby na nich pracował i nie dopuścił, aby ojciec i matka przyszli na stare lata na poniewierkę i ciężkie miłosierdzie ludzkie. Ale Szymek zapomniał o Bogu, o jego przykazaniach, a Bóg odwrócił od niego zagniewane oblicze. Skoczył tylko jak opętany i leciał nie wiedząc gdzie i po co. Ludzie usuwali mu się z drogi, myśląc, że kogoś ściga zawzięcie, on wypadł na pole i leciał wciąż. Raz zdało się mu, że słyszy za sobą groźny głos ojca, znów cichy płacz i łkania starej matki, to wreszcie śmiech szatana, co w postaci starego oszusta niby mu drogę zabiegał. Szymek nie przeżegnał się, nie spojrzał za siebie, ale biegł coraz dalej, a dalej.

Nieszczęście chciało, że Szymek leciał w przeciwnym kierunku, jak leżała rodzinna wioska jego; bo byłby może spotkał kogo ze znajomych, coby go zatrzymał i odwiódł od złej myśli. Ale on sam nie wiedział dokąd biegnie i co ze sobą robić zamyśla, pędził na oślep, aby uniknąć ojcowskiego gniewu i kary. Tak przeszło dobre pół godziny, kiedy nasz biedak dopadł do mostu, pod którym bystro rzeka płynęła. Szymek oszałomiony nie pytał wiele, jednym skokiem przesadził nizką poręcz i rzucił się w sam prąd rzeki: jęknął tylko, woda się zagotowała i już go nie było.

Ale Bóg miłosierny nie chciał śmierci grzesznika, owszem chciał, aby żył i odpokutował ciężko na tym tu jeszcze świecie. W pierwszej chwili nie widział Szymek, co się z nim robi, nagły upadek ogłuszył go zupełnie, ale zaraz usłyszał tak straszny szum; potem stopniowo tracił oddech, w końcu pamięć opuściła go zupełnie i nic o sobie nie wiedział. Kiedy przyszedł do przytomności, spostrzegł koło siebie kupę żołnierzy, a kilku z nich czynnie ratowali topielca. Żołnierze gadali po niemiecku, Szymek ich nie rozumiał, a sam przejęty zgrozą i osłabieniem, mówić nie miał ochoty. Austryacy nie tracili marnie czasu; wyratowawszy Szymka, a widząc w nim młodego i rosłego chłopa, postanowili zaraz zawerbować go do wojska i wsadzili go na furgon. Szymek nie opierał się wcale, osłabiony i zaledwo świadom co się z nim dzieje, wolałby iść na koniec świata, jak wracać do domu. Żołnierze pomaszerowali dalej. Przy pierwszym *halcie* znalazł się jeden, co umiał trochę po polsku, zaczął więc namawiać Szymka, aby przystał do nich; on nie wiedząc, co z sobą począć, chętnie przyjął propozycyą i poszedł z huzarami aż wgłąb Austryi.

W początku Szymek odurzony okropnem nieszczęściem, zajęty musztrą, która w obcym języku stokroć mu trudniejszą była, nie czuł tak bardzo swego smutnego stanu, lecz w miarę jak umysł jego uspokajał się, zaczęła się budzić w duszy biednego wygnańca niewysłowiona do kraju tęsknota. Komu Bóg dozwolił żyć wśród swoich, ten nie pojmie nigdy żałości, jaka ogarnie człowieka, kiedy bez nadziei powrotu ujrzy się wpośród obcych, na cudzej ziemi. Jakże ja wam tę mękę opowiem, kiedy gdybyś wytoczył wszystkę krew z serca tego człeka, tobyś nic nią nie wypisał wszystkiego, co cierpi. Szymek przecierpiał całą tę okropną boleść. Wszystko mu przypominało kraj, a wszystko było różne. Inni ludzie, inna ziemia, odmienne nawet zboże i zioła. Za wszystkie pałace austryackich magnatów, nie oddałby był biedak ubogiej rodzicielskiej chatki, a głos sumienia wołał ciągle w duszy winowajcy: Nędzniku! obdarłeś ojca i matkę, przyprowadziłeś ich na starość do żebractwa; targnąłeś na własne życie: ręka karząca sprawiedliwego Boga zawisła nad tobą, nie ujrzysz upragnionej ziemi, robak zgryzoty stoczy twoje serce, uschniesz jak chwast na roli.

Tak upłynęło lat kilka. Szymkowi zdało się, iż dłużej wytrwać nie podoła, podał się więc do dymissyi, ale czasy nie były potemu. Austrya zagrożona, werbować żołnierza, nie rozpuszczać musiała; obiecano mu gruszki na wierzbie i gwałtem zostać kazano. Ale Szymek nie mógł pozostać dłużej: dusza, serce, myśl cała rwała się do kraju, do ojca, do matki. Żołnierz usłuchał tego głosu: zostawił

konia, mundur, rzucił broń i wziąwszy tylko stare płaszczysko, uszedł. Miał ogromny kawał drogi do przebycia, a żadnego zasobu do życia; mimo całej ostrożności schwytany i do pułku odstawiony został. Tu stawiono go przed sądem wojennym i skazano na ciężką chłostę. Szymek przyjął wyrok bez szemrania, widział w tem karę Boską; zbity, cierpiący na całem ciele, oddany został do lazaretu. Nie żalił się wcale, nie złorzeczył nikomu, prosił tylko Boga o zmiłowanie nad grzeszną duszą swoją i musiał miłosierny Pan ulitować się nad grzesznikiem, bo po wyjściu z lazaretu uczuł się Szymek jakby innym człowiekiem. Ucichła w duszy jego dzika i szarpiąca rozpacz, zamilkły wyrzuty sumienia i tylko czasami zdało się Szymkowi, iż słyszy cichy, łagodny głos: Niedługo już niedługo! Szymek słuchał sercem tego głosu i był gotów, choć nie mógł przewidzieć co go czeka.

Tymczasem gotowały się wielkie wypadki: armia francuzka wkroczyła do Austryi, wojska połączone zaszły jej drogę koło Ołomuńca, groźni nieprzyjaciele postanowili zajrzeć sobie w oczy. Pułk gdzie służył Szymek, należał do armii czynnej i został wykomenderowany na fortpoczy, na ostatniej z nich na straconej pikiecie stał nasz biedak.

Było to w grudniu, mróz był lekki, śnieg pruszył i zaciemniał widnokrąg. W dali widać było ognie francuzkich biwaków. Szymek zapatrzył się w ową stronę i głęboko dumał, różne myśli tłoczyły mu się do głowy, ale milczał, równie i jego kamrat niemiec nie rzekł słowa; milczenie i ciemność panowały wokoło. Znagła usłyszeli, że coś w pobliżu zaszeleściło, lecz zaledwo huzar zawołał: Wer da? (kto tu?) świsnęła kulka w powietrzu, Szymkowi błysnęło w oczach, zadrżał i spadł z konia.

* * *

Za górami, za lasami, w dalekiej, dalekiej krainie wlecze się gościńcem nędzny kaleka. Młody on czy stary, Bóg sam wie; człowiekowi zatrudno lata jego odgadnąć. Żółta ściągnięta skóra pokrywa twarz schorzałą biedaka, oczy zamglone, zapadłe; postać cała zgarbiona, wyschła, zdaje się zawisła na kiju, którym kaleka z trudnością się podpiera; głowę jego ogołoconą z włosów pokrywa licha żołnierska furażerka, a płaszcz takoż wojskowy, stary, podarty odziewa wychudłe ciało nędzarza. Zbiera on wszystkie siły i zdaje się dokądś podążać. Wiatr przewiewa liche jego okrycie, unosi czasem furażerkę, on podnosi ją z wysileniem, a wlecze się krok za krokiem, coraz dalej, a dalej. Ale droga ciężko mu idzie, on człowiek innej krainy, nie ma grosza przy duszy, nie ma kawałka chleba w kieszeni; nic nie ma, prócz litości ludzi. Ale o tę tutaj nie łatwo, bo kiedy biedak zagada tutejszym językiem, znać zaraz, że na innej urodził się ziemi: zbędą go miłosiernem słowem, i rzadka znajdzie się ręka, coby mu podała kawałek chleba, trudniej jeszcze użyczyła garść słomy na posłanie. Ale nędzarz się nie żali, głodny i zziębły patrzy ku północy, tam zdaje się czerpać jakieś siły i znów podąża.

Trzy już tygodnie tej bolesnej drogi minęło, kiedy kaleka minąwszy Karpaty, zbliżył się do Polskiej krainy. Ujrzawszy ją padł pod figurą na kolana i całował świętą ziemię żywicielkę naszą. Był to koniec marca, deszcz cały dzień plużył, a wiatr zimowy przejmował kości; lecz właśnie w tej chwili zabłysło słońce i złocistą szatą otoczyło wizerunek Zbawiciela. Kaleka podniósł oczy w górę, obce mu oddawna uczucie pociechy wpłynęło do duszy: objął krzyż rękoma, ściskał i całował ze łzami święte godło naszej wiary, modlił się gorąco. Ale nagle przejął go straszny ból, przycisnął rękę do wyschłej piersi, jęknął i padł na ziemię.

Kiedyśmy wracali ze młyna, znaleźliśmy go leżącego pod owym krzyżem; żył jeszcze, ale zaledwo oddychał. Włożyłem go na wóz, zawiozłem biedaka do mojej chaty, i ile można było wygodnie umieściłem. W godzinę ledwo przyszedł do siebie, i poczuł zaraz, że jego ostatnia chwila niedaleka; ciężka bowiem i źle wyleczona rana otworzyła się i krew strumieniem broczyła. Dziękował nam za bratnią pomoc i prosił usilnie o księdza. Łatwo sobie wyobrazicie, żeśmy chwili nie zwlekali. Jakoż niebawem przybył nasz zacny proboszcz, chory spowiadał się z wielką skruchą i przyjął pobożnie Najświętszy Sakrament. Dziękował gorąco Bogu, że mu pozwolił umierać na rodzinnej ziemi wśród swoich. Dziękował pokornie jegomości, nam, i prosił wszystkich, abyśmy o duszy jego pamiętali.

Już eś tam miłosierny Jezu osądził dawno tę biedną duszę, bądź dla niej miłościw, jak

i dla nas wszystkich grzeszników, kiedy nastąpi straszliwa godzina twego sądu.

Chory żył jeszcze parę dni i ciągle był przytomny, na mojem ręku ducha Bogu oddał. Pochowaliśmy go jak Bóg i serce bratnie kazały. Opowiadał mi swoje nieszczęśliwe życie, jakem wam u góry opisał, tylkom całą rzecz trochę ogładził, boć chory dokładnie opowiadać nie mógł i będąc długo w wojsku austryackiem, dobrze zniemiecka zatrącał.

Chata Modrzewiowa. (*)

(Patrz Nr 3 Czytelni z r. z.)

Rano, w pierwszy dzień święta Bożego Narodzenia, z Jarzyną i panią Brygidą wyruszyła dziatwa dwiema sankami do pobliskiego kościoła. Gwizdacz tylko pozostał sam dla dozoru nad całym domostwem.

Po odmówieniu rannych pacierzy, zabrał się do roboty, bo mróz na dzień coraz się poprawiał. Naniósł więc drzewa do komina dla pana Jacka, i do czeladnej izby dla pani Brygidy, napalił w piecu, dla *swojej dziatwy* jak wyrażał, mówiąc o sierotkach Brózdy, a za nim pracę tę ukończył i nieco tylko spoczął, zadzwoniły sanki i wszyscy powrócili z porannego nabożeństwa.

Pani Brygida zabrała się z dziewczętami co żywo, do zgotowania objadu. Jarzyna, Piotra Gwizdacza, i chłopców przywołał do siebie.

— Daleko jeszcze do południa, mówił, możemy z sobą pogwarzyć. Jeszcze ci raz dziękuję panie Piotrze, za wczorajszą twoją szopkę i chłopcom także, co tak pięknie śpiewali. Dawny to nasz zwyczaj, dzięki Bogu, że się przechował dotychczas. Ile on przywodzi na myśl wspomnień z dni naszej młodości! O! pamiętam sam, dawno to już bardzo, po pierwszej takiej szopce w domu moich rodziców, a byłem już chłopak piętnastoletni, jak padłem do nóg panu ojcu i pani matce, a oni mnie pobłogosławili na daleką drogę, bo wtedy zaciągnąłem się do wojska. Rodzic dał mi sławną szablę swoję, z którą służył w wojsku. I ta szabla, ot widzicie chłopcy, wisi dotąd ponad łóżkiem moim, nigdy z nią się nie rozdzieliłem.

Z tą szablą, był mój pradziad pod Wiedniem z królem Sobieskim, wrócił ciężko ranny i podarował dziadowi, a ten ojcu memu. Tak spuścizną z ojca na syna przechodziła, aż teraz spoczęła od lat wielu na ścianie tej chaty Modrzewiowej.

Pani Brygida pamięta, bo już była dziewczynką siedmioletnią, a chowała się w domu rodziców moich, jako córka od rodzonej siostry mojej matki, kiedy ś. p. ojciec, z błogosławieństwem oddawał mi tę szablę. Z nią w świat poszedłem, przy jej błysku wpadłem między pierwszemi w wąwozie *Somo-sierra* na armaty hiszpańskie.

Kiedy ranami okryty, boso i obdarty wracałem do kraju, ona mnie nie opuściła. Dawano mi za nią grube pieniądze, a ja wolałem iść głodno i chłodno, a tej rodzinnej pamiątki nie stracić.

W kilkanaście lat potem, szedłem do wioski rodzinnej, ażeby wpośród swoich odpocząć. Bawiła przy matce daleka krewniaczka Jadwisia o 2 tylko lata młodsza odemnie; pokochaliśmy się szczerze, i gdym wyszedł na wojaczkę, przyrzekła, że czekać będzie na mój powrót. I czekało biedniątko. Aż tu wieść przychodzi, żem zginął pod Lipskiem w morderczej bitwie. Płakał ojciec i matka, płakała i Jadwisia.

Wioska, co miał w niej część największą mój rodzic, była kościelną; cmentarzyk wiejski, tuż nad drogą ocieniał się lipami i jarzębiną. Była to wtedy pomnę, jesień już ale bardzo pogodna: zielone drzewa, a zapach świeżo zoranej ziemi orzeźwiał duszę.

Z torbą na plecach, z kijem w ręku, w podartej kurtce wojskowej, boso, ale z szablą ojcowską przy boku idę zmęczony: jak ujrzałem przecie wieżę naszego kościołka, a pod cieniem jaworów dworzec, gdziem się urodził, tak serce zabiło mi mocno, a nogi zadygotały, żem upadł na kolana i począłem żarliwie się modlić. W tę właśnie porę dzwonek kościelny uderzył na *Anioł Pański*. Po modlitwie powstałem jakoś rzeźwiejszy; idę sobie dalej, aż patrzę brama cmentarzyka otwarta, jakiś grób z kamienia białego nowy jaśnieje, a przy nim klęczą dwie niewiasty i starzec siwowło-

---

(*) Ponieważ autor *gawęd o dawnych dziejach* p. Walery Wielogłowski z powodu zajęć na sejmie Lwowskim nie może dalej prowadzić swej pracy, przeto podajemy w *Chacie Modrzewiowej* dalsze opowiadania tego samego przedmiotu, powtarzając nawet dzieje bajeczne, już w gawędach opisane, dla całości następnych opowiadań.

sy. Podchodzę szybko, i poznaję matkę moją ojca i Jadwisię; oni uwiedzeni wieścią o mojej śmierci, wystawili ten nagrobek i modlili się razem za duszę moję.

Nie wiem, co się zemną działo, kroku stąpić nie mogłem, chciałem wołać, głosu i tchu mi zabrakło, chciałem rodzicowi szablę pokazać, że ją nieshańbioną przynoszę, ale tyle tylko pamiętam, żem ją dobył z pochwy i zjękiem padłem bezprzytomny.

Opowiadała mi później Jadwisia, że błysk szabli od słońca padł na mój grobowiec, ojciec spojrzał w otwartą cmentarzyka bramę, poznał mnie, krzyknął: To Jacuś nasz i moja szabla! Skoczył jak młodzieniec, rzucił się ku mnie, porwał na ręce, ale z wysilenia i zanoszenia od płaczu przyklęknąć musiał. Matka z Jadwisią nadbiegły, zaczęły trzeźwić, ale nie mogłem przyjść do przytomności. Sprowadzono bryczkę, odwieziono mię do dworu. We dwie godziny odzyskałem zmysły, byłem zmęczony i głodny. Ale młodość i radość pokrzepiły siły; nazajutrz już wstałem, a w tydzień zdrów jak ryba. Opowiadałem wspomnienia doznane trudy i niebezpieczeństwa. W zapusty zaprzysięgliśmy sobie przed ołtarzem z Jadwisią wiarę małżeńską, i żyliśmy szczęśliwi. Ale Bóg inaczej rozrządził, zaczął zsyłać troskę po trosce, niedolę po niedoli... aż przyszło wielkie nieszczęście!..

Kończąc te słowa pan Jacenty, machnął ręką i odwrócił oblicze, ażeby łez nie pokazać, na co zwilżały mu wąsy.

Po chwili, widząc wchodzącą panią Brygidę z dziewczętami do nakrycia stołu, uspokojony przemówił:

— Co tam dalej gadać!.. nie o tem wam miałem mówić, ale człowiek zawsze jak usta otworzy, to by pszczoły do ula przed deszczem, cisną się dawne wspomnienia i dławią cię, aż je wyspowiadasz. Ale już Brygisia zapowiada nam objad, bo i południe zapasem. Jak się posilimy, to nie o sobie, ale o czemś ważniejszem pogadamy razem.

Jakoż po stole, gdy wszyscy zajęli swoje miejsca, pan Jacenty wziąwszy w ręce *Kronikę Bielskiego* i przejrzawszy kilka stronic, w te się odezwał słowa:

— Widzicie moje dzieci tę oto grubą księgę, a ona ledwie opisała połowę historyi naszego narodu; tyle to o tem było do pisania, a więcej jeszcze dopisaćby należało, od czasu na którym zakończył dzieje. A byłoby wiele, nie mówię, co nasi ojcowie zapamiętali, ale i to, co sam człowiek już widział na tym biednym świecie. Otóż jako mnie widzicie kochane dziatki, temi nogami obszedłem całą Europę. Byłem we Włoszech, we Francyi, Hiszpanii, Niemczech, a nie mało się dreptało i po swojej ziemi. Ale o tem potem. Teraz wam chcę opowiedzieć, co tu stoi w tej książce, ba i w innych kronikach,

Jak w każdym narodzie, tak i u nas, historya rozpoczyna się od podania ustnego starców. Kiedy się znalazł u nas taki, co chciał pisać, jakto dawniej bywało, to pytał siwych jak gołębie ludzi, co też oni zapamiętali. Tak jeden sługiwał na dworze króla lub wielkiego rycerza, albo pana, drugi sam był w tej i drugiej bitwie, a wszyscy pamiętali dobrze, co dziad i ojciec mówili z czasów dawniejszych. Tak potem to wszystko, co usłyszał, układał sobie w głowie, a potem spisywał. Trzeba wam wiedzieć moje dzieci, że dawniej ludzie dłużej żyli; nie osobliwą rzeczą było widzieć starca czerstwego, z dobrą pamięcią, co już przeżył sto lat z górą. Skromnie też żyli, wódki i wina nie znali, ani korzenych przypraw i wykwintów, pracowali więcej, hartowali ciało na niewygody i niepogody, przymierali głodunieraz, czy na łowach, czy w wojnie; to zato i Pan Bóg krzepił ich siły i lat przysparzał. Nie znając co to zbytek, mieli wszystkiego dostatek, bo święta ziemia rodziła zboże, w lasach zwierzyny nie brakło, a w rzekach i jeziorach ryb dostatek.

Owóż owi ludzie, którym Bóg dawał taki wiek długi, mogli dalekie pamiętać lata; bo dziad żył ze sto lat, pan ojciec drugie, a i syn choćby mniej, to zbierało się *historyi* ze 200 lat z górą.

Owi tedy starcowie opowiadali dziwne rzeczy o początkach pierwszych z czego Polska powstała. Trzeba to wszystko wiedzieć moja dziatwo, chociaż dawne *historye* nazywają *bajecznemi.* Może jest wiele bajki, ale w gruncie rzeczy musi leżyć prawda, kiedy pamiątek co dotrwały, dotykamy się własnymi rękoma, jak mogiły Krakusa i Wandy pod Krakowem, jak *Smoczej jamy* pod samym zamkiem królewskim w Krakowie.

I opowiadali, że z dalekiej ziemi przyszedł *Lech* w tę okolicę gdzie dziś *Gniezno* miasto leży; tu osiadł, a znalazłszy *gniazdo orle*, wziął za godło do herbu narodu orła białego, a zbudowany gród nazwał *Gnieznem*. Po jego długiem panowaniu, kiedy umarł, rządzili synowie i wnukowie, a każdy *Lech* się nazywał. Kiedy cały ród wygasł, wybrali sobie Polacy dwunastu wojewodów, ale kiedy niezgoda była między nimi, przywrócili książęce rządy i osadzili na tronie mądrego i odważnego Krakusa.

Chwalebnie on panował, założył sławną stolicę Kraków, bił potężnie najeźdniczych sąsiadów, gdy wielką klęskę Pan Bóg zesłał wtedy.

Na wyniosłej górze, co się zwie *Wawelem*, kędy zamek królewski, i sławny kościół gdzie groby wszystkich prawie polskich królów, u spodu jej jest głęboka jama, którą sam oglądałem, zwana dotąd *smoczą jamą*. Tam to ukrywał się w ciemnicy straszny smok, który pustoszył całą okolicę, napadał na wsie, zjadał bydło, pożerał ludzi.

Krakus podrzucił mu barana, wypchanego siarką zatloną. Straszna bestya rzuciła się łakomie na żer smaczny; ale jak połknęła, dopiero wnętrzności zaczęło jej palić. Smok przypadł do Wisły, chłypał wodę z rzeki, ale nic nie pomogło. Wyciągnął się jak długi i zdechł na wybrzeżu. Radość była wielka i uciecha potem. Krakus długo a mądrze i sprawiedliwie panował, dożył sędziwej starości, kiedy umarł lud go cały płakał szczerze. Zaniósł ukochane zwłoki za Wisłę na wzgórza, i tam usypał mu wyniosłą mogiłę, którą nazwał *Rękawką*, dlatego, że własnemi rękoma znosząc po garstce ziemi, wysypał mu tak wysoki kopiec.

Do dziśdnia zowie się *Mogiłą Krakusa*; a w trzeci dzień *świąt Wielkanocnych* zbiega lud cały z Krakowa i okolic corocznie na obchód *Rękawki* zwany.

Na szczycie góry stoi kościołek mały świętego Benedykta; wokoło jego ścian zastawione stoją kramy z zabawkami i jadłem jak kukiełkami, piernikami, orzechami i t. p. Na dany znak, ci co możniejsi zakupiwszy je potem, rzucają z góry, gdzie chłopcy czekają na te dary. Wtedy powstaje radosna wrzawa, okrzyki wesołe, a ludek boży cieszy się i przypomina sobie owego króla Krakusa, którego czci dotąd wspomnieniem swojem.

Zapytacie, zkąd ten zwyczaj rzucania daru Bożego poszedł, owóż mnie jeden stary krakowianin, co mieszkał pod samym zamkiem, niedaleko *smoczej jamy* opowiadał: że kiedy przyniesiono zwłoki Krakusa, pochowano ze czcią a płaczem i wysypano kopiec na trzydzieści łokci wysoki, wtedy panowie wyprawili *stypę pogrzebową*. Ale że ludu było dużo, co stał i na górze i pod górą, tak tedy bliższym rozdawali do rąk jadło i napitek, a dalej stojącym rzucali przez głowy drugich, co i teraz przechowano w obyczaju.

Zmarły Krakus miał dwóch synów i córkę Wandę. Jeden nazywał się *Krakus*, drugi *Lech*. Ale jak się w dał w poczciwego ojca Krakus i objął po nim rządy, tak się wyrodził Lech, a zazdroszcząc bratu władzy, zabił go na polowaniu. Złe się nigdy nie utai, wyjdzie jak szydło z worka; chociaż nikt nie widział, jak Lech brata zamordował, wydało się jednak i uciekać musiał z kraju.

Zdania.

1. Jałmużna nie zuboży, prawda nie ohydzi, statek nie oszpeci, msza nie opóźni.
2. Kto się wiatrem karmi, nie utyje.
3. Cudze złe na słońcu, swoje w cieniu stawiamy radzi.
4. Skąpy bogacz, jako skrzynia: choć w niéj złoto, przecie w kącie leży.
5. Kto nie sprosta temu o co się kusi, niech uczyni co może, jakby wszystko dokazał.
6. Nie zabawią długo w jednem miejscu obłuda i zgoda; krzywe z prostem nigdy się nie zestosują.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 30 kwietnia (12 maja) 1861 r. Starszy cenzor, F. *Sobieszczański*.